ROZMAITOŚCI.

Dnia 9 maja, Ner 19. roku 1846.

DYJANA.

(Ciąg dalszy.)

Wojska francuzkie pracowały niezmordowanie około dalszego oblężenia; coraz wyżéj wznosiły się wały, coraz przestronniéj rozszérzał się obwód oszańcowanego obozu, a machiny wojenne zaczęły jeszcze przed usypaniem okopów ciskać śmierć i zniszczenie pomiędzy warownie i szeregi zdumionych oblężeńców.

O zapadającym zmroku były już okopy francuzkie ukończone, machiny odpoczęły, a równie Francuzi jak i Anglicy zdawali się zaniechać już dnia tego wszelkich usiłowań, aby się w tém czérstwiejsze siły i świéżą odwagę na jutrzejsze boje uzbroili.

Bertrand du Guesclin wyszedł ze swego hetmańskiego namiotu, i przechadzając się długiemi, wprost wytkniętemi ulicami obozu, mierzył orlim wzrokiem marsowe twarze swoich podwładnych oficerów i żołnierzy, którzy po całodziennych trudach w rozmaitych wczasowali się grupach. We wszystkich twarzach widać było nieugiętą wytrwałość, odwagę i zaufanie w swojego naczelnika, a wynikłe ztąd zadowolenie starego hetmana, rozjaśniło mu lice połyskiem wzniosłéj radości. Po chwili stanął Bertrand du Guesclin przed jednym z oficerów i zapytał: »Gdzie jest mój paź Turanel?«

„Widziałem go właśnie udającego się w głąb obozu, dostojny panie!” odrzekł z uszanowaniem zapytany. »Jest on niezawodnie tam przy końcu lasu, gdzie obóz się otwiéra. Czy każesz go sobie przywołać.”

»Nie, dziękuję;” ozwał się hetman i podążył spieszno ku wskazanéj części obozu.

Mała przestrzeń między tylnym otworem obozu a lasem, z którego Frankowie przeszłéj nocy nagle się okazali, sprawiała tém milszy widok, im bardziéj od pobliskiego gwarnego obozowiska odmienną miała postać.

Wokoło ścieliła się bujna, zielona murawa, po któréj cienie przytykającego lasu wraz z ostatniémi połyskami zachodzącego słońca, jużto wnet ciemne, już czerwoniawo-migotne pasma snuły. Z kwitnących tuowdzie drzew owocowych, jakotéż z pobliższych ciemnych zakątów lasu, odzywał się gwarny spiew ptasząt, nie troszczących się wcale o srogie wkoło zaboje, a jakby w wtór téj wieczornéj harmonii, przybrzmiewały na falach łagodnego, cichego powietrza dźwięki wieczornych dzwonów z okolicznych wiejskich kościółków.

Wyszedłszy z wrzawy obozowiska w to miłe, zaciszne ustronie, uczuł zgrzybiały wojownik jakieś błogie chociaż smętne uczucie w swojéj tylą burzami miotanéj piersi. Otoczyły go znowu jasne minionych dni obrazy, a w sercu jego ozwały się odgłosy wesołéj nuty młodości, która już od tak dawna zamilkła. Pogrążony w głębokie dumanie, postępował sędziwy bohatér naprzód, aż wreszcie podniosłszy spojrzenie, ujrzał w niejakiéj odległości swojego pazia Turanela, który obrócony twarzą ku lasowi, siedział pod oliwném drzewem, i kroków nadchodzącego po murawie hetmana nie słyszał.

Tuż przy młodzieńcu leżały łuk i misiurka, a rzęsiste zwoje jego jasnych włosów, spływały swobodnie po szyi i ciemno zielonym stroju, wykładanym wokoło białém futerkiem. Wyjął był oręż z pochwy, i w zamyśleniu ścinał główki niewinnym kwiatkom, które obficie powszędy z zielonego tła łąki wykwitały.

Stary hetman stał długo za paziem, patrząc z upodobaniem na smukłą i dziwnie kształtną postać młodzieńca. Wtém, przypadkiem oręż Turanela dotknął zbrojnéj ręki hetmana, a ockniony tym chrzęstem ze swoich marzeń, zerwał się Turannel z ziemi, otarł sobie ukradkiem łzę z oka, i spojrzał nieśmiało na hetmana.

„Jak widać, mało troszczysz się o swego pana,” — rzekł bohatér z uśmiéchem — „i mniemasz iż mam głos bardzo mocny, który aż tu z mojego namiotu, słuchu twego dosięgnąć może.”

»Przebacz, dostojny panie,” — odrzekł paź nieco zmieszany — »sądziłem iż spisz teraz.”

»Właśnieto spiący naczelnik potrzebuje najwierniejszéj straży;” — rzekł du Guesclin — „lecz to na stronę, a powiedz mi raczéj, o czém tu wła-

śnie marzyłeś, i co te niewinne kwiatki zawiniły tobie, iż je tak zawzięcie wytępiasz?»

„Wystawiałem sobie,"— odpowiedział paź szybko— „iż to są Anglicy!"

„Ha!" ozwał się hetman żartobliwie. »Drzyj dumna Anglijo! Paź Turanel poprzysiągł ci zagładę!»

»Chociaż moja młodość niezdolną jest rzeczywiście, robić tak dzielnie mieczem, jak rycerze gaskońscy, ale przynajmniej łuk mój ugadza równie głęboko i pewnie, jak strzały waliskich strzelców, którzy dziś obezczeszczają mury naszego zamku Randon.»

»Na to trzeba jeszcze dowodów;» odrzekł hetman francuzki z uprzejmym uśmiéchem.

»Natychmiast, mój wodzu! Oto patrz!» zawołał młodzian, pochwycił łuk, nałożył strzałę, i wymierzył w jastrzębia, który wysoko w górze nad ich głowami szybował.

»Daj go katu!» ozwał się hetman z zadziwieniem, gdyż w téjże saméj chwili ptak ugodzony śmiertelną strzałą, zaczął małémi kręgami zwijać się w dół, a wreszcie padł skrzecząc u stóp hetmana.

„Jakiejżeto nagrody żądasz za ten strzał mistrzowski?» spytał hetman radośnie, podczas gdy Turanel, nie mówiąc ani słowa, spokojnie strzałę z jastrzębia wyciągnął.

»Proszę, aby mi pozwolono miéć udział w szturmach do twierdzy!» odrzekł paź tak szybko, jakby już długo nosił się był z tą myślą.

Hetman zadumał się na chwilę. Poczém spojrzał z upodobaniem na młodzieńca i mile przemówił, »Jesteś jeszcze młodym i nie dość zahartowanym, moje dziécię. Podobałeś mi się bardzo, przybywszy niedawno do obozu i ofiarując mi swoje służby; przyjąłem cię chętnie, bez wchodzenia w tajemnicę, jaką swój stan i pochodzenie swoje ukrywałeś; i nie ma też zręczniejszego i wierniejszego pazia nad ciebie! — wszakże pomnij, iż groty nieprzyjacielskie nie będą zważały na twoję młodość; a kto wié,"— dodał hetman z przyciskiem — „czy jaki przyjaciel lub ojciec, nie płakałby za tobą, gdybyś miał zginąć?»

Gładkie czoło młodziana zasuło się sępną chmurą, a otwarte jego oblicze nie zdołało ukryć wzruszenia wewnętrznego. »Jeżli zginę za ojczyznę," — rzekł on dobitnie — „tedy sposób mojéj śmierci, złagodzi i uszlachetni boleść tych po mnie, którzy żałować mię zechcą."

Bertrand du Guesclin umilkł i patrzył długo w zadumaniu przed siebie. Wkońcu ozwał się poważnie: »Jutro rano uderzymy doborem wojska na miasto; mój wierny Turanel może walczyć przy moim boku."

„O dzięki, dzięki! drogi — dostojny panie!» zawołał paź w uniesieniu, ukląknął na jedno kolano przed hetmanem i wycisnął gorący pocałunek na ręce starca.

W tej chwili było już zupełnie ciemno i cicho, aż wtém dał się słyszeć z obozu gwar kilku spiérających się z sobą głosów. Hetman obrócił się czémprędzéj i pospieszył w stronę, zkąd głosy te wychodziły. Tożsamo uczynił też i młodzieniec, biorąc szybko łuk i misiurkę i udając się za naczelnikiem.

Osłonieni ciemnością, przybyli obaj, hetman i paź, tuż ku temu miejscu, które ich uwagę na siebie zwróciło. Przybliżywszy się, postrzegł hetman jakiegoś młodzieńca, który przy świetle pochodni, stał śmiało pomiędzy gronem oficerów francuzkich. Spojrzenia jego mierzyły hardo otaczających go rycerzy, i również swobodnym głosem odpowiadał on na wszelkie zapytania, jakie jeden z dowódzców mu zadawał.

Przez jakiś czas przypatrywał się hetman niewidomo téj scenie, aż nagle wszedł pomiędzy nich we środek. Nato, nowo przybyły młodzieniec wystąpił przed naczelnego wodza, i nisko mu się skłaniając, prosił skromnémi słowy o posłuchanie.

»Zkądże wiesz, iż ja-to jestem hetmanem?» zapytał Bertrand surowo, a wzrok jego zatopił się badawczo w głębi duszy młodzieńca.

„Twoja-to postać i twoje wejrzenie, dostojny panie," — odrzekł zapytany spokojnie — »nie pozostawiły mi żadnéj wątpliwości w tym względzie.»

„Inaczéj ma się rzecz z tobą,"— przejął du Guesclin — »gdyż nie wiém jeszcze, co o tobie mam sądzić. Jakże dostałeś się do obozu? Mów!»

„Nie mogłem powściągnąć w sobie żądzy służenia pod twojémi sławnémi sztandarami, szlachetny wodzu;» — odpowiedział młodzieniec, spoglądając hetmanowi spokojnie w oczy. »Bez narażenia się na niesławę podstępnéj ucieczki, znalazłem sposobność wydalenia się z murów tego miasta, gdziem się urodził, i dostałem się aż do czat obozowych, które mię przytrzymawszy, tu przyprowadziły.»

„Byłoby to wszystko bardzo pięknie i szlachetnie," — ozwał się starzec z namysłem — „gdyby tylko było istotną prawdą. Ztémwszystkiém możesz być zarównie przeniewierczym Francuzem, szpiegiem, który nas zdradzić zamierza.»

„Dostojny panie!» zawołał młodzian z urazą, która całe oblicze pałającym powłokła mu rumieńcem — „Henryk de Poveril nie wychowałby syna, któryby swoję ojczyznę mógł zdradzić!»

»Poveril!» ozwał się hetman zdziwiony, i przystąpił bliżéj do młodzieńca, chcąc mu wyczytać z rysów podobieństwo do swojego dawnego przyjaciela młodości. »Młodzieńcze,"— rzekł starzec daléj — „wyrzekłeś tu imię, które jest bardzo drogie mojemu sercu i miło brzmi w mojém uchu. Imię to jest nader szlachetne, aby się zdrada z nim łączyć mogła. Jakoż patrząc w te czarne, ogniste oczy, na ten nos orli, to harde i swobodne czoło,

zdaje mi się istotnie, jakbym widział raz jeszcze ową młodzieńczą postać mojego zacnego, ukochanego przyjaciela.... Co za uderzające podobieństwo!»

„Pozwól mi wodzu," — przerwał Karol Poveril z radością— »pozwól mi walczyć pod twémi sztandarami, a tuszę sobie, że znajdziesz jeszcze bliższe podobieństwo między mną a moim walecznym ojcem.»

„Młodzieńcze!» ozwał się ucieszony starzec. »Przemawiasz z takim zapałem, któremu starzy żołnierze i obrońcy ojczyzny zaufania odmówić nie mogą. Witam cię i liczę pomiędzy moich wojowników, synu dzielnego ojca! Jutro o zachodzącym słońcu, będę, jak się spodziéwam, dokładniéj o twoim rycerskim charakterze przekonany!»

Młodzieniec stał z pałającém licem przed sędziwym bohatérem, z którego duszy wszelka wątpliwość już ustąpiła.

„Pójdź Turanelu,"— zawołał hetman w końcu— „i zaprowadź tego młodzieńca do twojego namiotu. Musicie téj nocy spać razem, gdyż nie ma w obozie miejsca dla nowych przybyszów. — Ale cóż ci to chłopcze, że sobie tak starannie twarz misiurką zakrywasz?»

»Blask pochodni mię razi;" — odrzekł paź obojętnie, i śmiałém skinieniem dał znak Karolowi de Poveril, aby szedł za nim.

Wkrótce w obozie coraz większa cisza panowała; jeźdźcy, łuczniki i halabardniki udali się wraz z swymi dowódzcami do namiotów, a każdy pragnął pokrzepić się snem spokojnym na bój jutrzejszy.

Turanel idąc naprzód, prowadził swego nowego towarzysza, ani słowa z nim nie mówiąc. Minąwszy spiesznie legowiska obozowe, przybyli obaj nareszcie do namiotu, który tuż przy namiocie hetmana dla Turanela był wyznaczonym, a w którym on, jako ulubieniec swojego pana, zwykle sam jeden sypiał.

„Oto chléb i wino;" — rzekł paź do Poverila, wstąpiwszy do namiotu, i otwiérając małą tajstrę z żywnością — »a tu łoże ze słomy, jeżeli chcesz wypocząć!" dodał prawie z niechęcią.

„Wszak to jest twoje łoże;" — ozwał się Karol — »nie chcę pozbawiać cię spoczynku, któregoś ty po wczorajszym pochodzie bardziéj niż ja potrzebny."

»Nie rób zachodu;"— przejął krótko Turanel— »ja spać nie będę." — To rzekłszy wyszedł przed namiot, i zaczął piosnkę nucić.

»Jakiś krnąbrny chłopiec!"— pomyślał sobie Poveril— „lecz to życie obozowe zapewne tak usposabia. Ha, jeżeli spać nie chce, to ja go zastąpię." To rzekłszy, rozciągnął się wygodnie na słomie, i pomarzywszy jeszcze chwilę o Dyjanie, usnął głęboko.

Po niejakim czasie, gdy już można było wnosić, iż Karol Poveril spi twardo, wrócił paź do namiotu, obejrzał się bacznie wokoło, wyjął małą rogową latarkę i poszedł z nią do jednego z opuszczonych ognisk obozowych, wokoło którego niedawno tłumy zbrojnych rycerzy spoczywały. Zapaliwszy tam światło w latarce, udał się Turanel również kryjomo jak wprzódy napowrót do namiotu, starannie latarkę misiurką zasłaniając, aby światła widać nie było.

Tak stanął Turanel w pobliżu spiącego Poverila, i postawił latarkę w kącie namiotu, zkąd promienie światła młodziana razić nie mogły, a przecież dostatecznie jego piękne, szlachetne rysy przed zatopionym w ich podziwianiu paziem, na widoczy stawiły.

Po chwili odpiął Turanel ostrożnie swój oręż i usiadł obok spiącego młodzieńca na kamieniu, na którym sobie płaszcz rozesłał.

Wszelka surowość zgasła na twarzy jego, a natomiast rozlała się jakaś miła słodka łagodność. Przychylił się ponad łoże, oparł głowę na ręce, i wpatrywał się z widoczną uprzejmością w spokojne oblicze swego nowego towarzysza.

Nakoniec stanęły mu łzy w oczach, nachylił się coraz niżéj i niżéj ku spiącemu, jakiś posępny, bolesny uśmiech zaigrał mu na ustach, a jego drobna biała ręka, przesunęła się po czole, jakby ztamtąd chciała spędzić nieproszonego gościa — troskę.

Spiący młodzian zdawał się w błogich spoczywać marzeniach; usta jego otwiérały się niekiedy tak łagodnie, i poruszały tak wdzięcznie, jakby komuś lubemu ze słodkich słów się zwiérzały. Tu przychylił się paź szybko ku pięknemu sennemu przyjacielowi, usta jego dotknęły się ust młodziana, a nagłym podmuchem owiana lampa — zagasła.

* * *

Na wschodniém niebie zadrzały piérwsze czerwoniawe połyski świtu; gęste mgły opływały mury zamku *Chatel neuf de Randon*, a w obozie Franków panowała głucha i tajemnicza cisza. Zlekka i ostrożnie zgromdzały się hufce, w brzasku porannym zaczęły błyszczéć groty lanc, a polotne choręgiewki powiéwały ochoczo w przededniowym wietrze. Stary hetman wystąpił z namiotu, i żywym, śmiałym krokiem, jakby na gody weselne, wszedł pomiędzy szeregi wojowników.

W téj chwili zbliżył się Karol de Poveril ku naczelnemu wodzowi, i nisko się skłoniwszy, prosił o wyznaczenie mu choręgwi, pod którą miałby zaszczyt dziś walczyć. Obudził on się jeszcze przed świtem, a że jego dziwny młody gospodarz, paź Turanel, nigdzie, ani w namiocie, ani na dworze widzieć się nie dał, tedy Poveril pospieszył ku miejscu, gdzie już pojedyńcze hufce gromadzić się zaczęły, i gdzie podług wszelkiego prawdopodobieństwa najprędzéj można było spotkać hetmana.

»Życzę sobie, mój kochany Poveril,« — odrzekł hetman uprzejmie — »abyś walczył pod mojém okiem, gdyż tylko w ten sposób będę mógł przekonać się dokładnie o twojéj odwadze i przytomności umysłu, i wynagrodzić cię podług zasługi. I jestem pewien, że nie zawiedziesz mię w mojéj pochlebnéj nadziei, i nie staniesz bez wysłużonych sobie złotych ostrog rycérskich, przed twoim szlachetnym ojcem w oswobodzoném mieście rodzinném.«

Młodzieniec skłonił głowę w podziękowanie, i w téjże chwili postrzegł Turanela, którego powierzchowność wcale się dziś odmieniła.

Miał on na sobie przyłbicę, która mu z przodu czoło, twarz i brodę, a z tyłu cały kształtny kark zupełnie zasłaniała; wszakże drobne delikatne ręce były niczém wcale nieokryte, ponieważ pomiędzy wszystkiémi żelaznemi rękawicami, jakie w zbrojowni obozowéj się znajdowały, ani jednéj pary nie było, któraby poniekąd maleńkości tych rąk odpowiadała. Przez plecy miał łuk zawieszony na rzemieniu, a wyciągnięta z sajdaku strzała, czekała już gotowa w ręku małego łucznika na pierś nieprzyjacielską.

»Cóż, jak tam serduszko bije?« zawołał ze śmiechem hetman, widząc swego walecznego pazia przy sobie.

»Mocniéj niż kiedykolwiek, mój wodzu!« odpowiedział śmiało Turanel — »lecz wierz mi, że nie z obawy!«

Bertrand du Guesclin zwrócił się z rozweseloną twarzą ku wojsku. W téj chwili poranne słońce wzniosło się zwycięzko ponad mgliste tumany świtu i powitało zdrojem promieni obleczone żelazem skronie mężnych obrońców ojczyzny, z których niestety, nie wszyscy, co teraz w tym porannym blasku podwojonym ożywiali się zapałem, mieli o zachodzie wieczorną oglądać zorzę!

Odbrzmiewający od wałów miejskich krzyk i hałas uwiadomił Franków o zabieraniu się nieprzyjaciela do walki, a na dany znak hetmana, rzuciły się wojska szérokim, niezłomnym zastępem, którego obadwa skrzydła, im bliżéj pod twierdzę postępowano, tém daléj środkowy oddział wyprzedzały, aż wreszcie cała linija bojowa, ściśnięta w półksiężyca, większą część twierdzy otoczyła.

Gdzie z jednéj strony miłość ojczyzny, obrażona duma rycérska i ufność w sławę odniesionych zwycięztw, serce i ramię w olbrzymią zbroją siłę, z drugiéj zaś strony oczywiste przekonanie, iż tylko najnieugiętszy opór, życie i wolność ocalić zdoła, do nadludzkich usiłowań zniewalają — tam zaciekła walka na śmierć i życie toczyć się musi, a jeźli ona sama nie zawsze rozstrzyga, tedy przynajmniéj podaje ona nieomylną miarę, podług któréj wielkość kleski lub zwycięztwa téj lub owéj strony, oznaczoną być może.

Tak się téż miało przy obecnym szturmie do Randon, gdzie równie Anglicy jak i Francuzi byli tak dalece o ważności téj warowni przeświadczeni, iż rozpoczęta w téj chwili walka, w któréj stare mury twierdzy ze szczętem zburzone być miały, jeden z najokropniejszych przykładów rozpacznego ścierania się sił nieprzyjacielskich przedstawiała.

Najprzód uderzono na największą basztę po lewéj stronie miasta, dokąd sam hetman, uznając trudność tego przedsięwzięcia, ruszył z doborem łuczników i kopijników, śród gradu nieprzyjacielskich strzał i pocisków z kamieni.

Szczęśliwie przebyto fosę, podwojoném natężeniem sił wszystkich podźwigniono w górę drabiny, i śród okropnego okrzyku wojennego, w którym śmiertelne jęki ranionych i konających niedosłyszane głuchnęły, cały zastęp przedni, jak podrzucony burzą bałwan morski, wzbił się na mury warowni.

Zarazem dwaj najzapaleńsi śmiałkowie francuzcy, spiąwszy się z ostatnich szczeblów drabiny, przeskoczyli mur niezbyt széroki, i stanęli piérwsi na wałach, w pośrodku nieprzyjacioł, którym dłonie, znużone wściekłym oporem, opadać już zaczęły.

W lewéj ręce jednego z tych dwóch zapamiętalców powiéwał w górę proporzec Francyi, podczas gdy jego mściwy miecz w prawéj ręce śmierć i zniszczenie pomiędzy angielskiemi szeregami rozsiéwał. Byłto Karol de Poveril, który wraz z paziem Turanelem dobił się sławy, iż piérwszy na nieprzyjacielskie wdarł się okopy. Ale w téj chwili, upadający już Anglicy, z wytężeniem sił ostatka, rzucili się rozjuszeni na wdziérających się zewsząd Franków. Najbardziéj zaś zwrócił się ich wściekły zapęd ku śmiałemu młodzieńcowi, którego powiewający górą proporzec zwycięzko cały postęp szturmujących wiódł naprzód. Oręż jego uderzał błyskawicą na wszystkie strony, lecz wtém jakaś olbrzymia dłoń angielska porwała za proporzec, który chwiejno ku ziemi się nakłonił, a przetężone siły młodzieńca były już bliskie omdlenia. Na szczęście w téjże chwili łuk Turanela warknął, po mistrzowsku wymierzona strzała przecięła powietrze, a olbrzymi Anglik, śmiertelnie ugodzony, padł chércząc o ziemię.

„Za mną! Ocalmy chorągiew Francyi!« ozwał się za Poverilem młodzieńczy głos tajemniczego pazia, który tak śmiało na czele małéj garstki na nieprzyjacioł natarł, iż zmieszane angielskie szyki, znowuż cofnąć się musiały. Już teraz zginęła dla żołdaków brytańskich wszelka nadzieja utrzymania się dłużéj na wale. W tymże samym czasie zdążył spieszno hetman ze swojémi hufcami, a większa część nieprzyjacielskich warowni, wpadła w ręce Francuzów.

Ztémwszystkiém, siły zwycięców były zanadto

wycieńczone, aby jeszcze tegoż samego dnia można było przypuścić szturm do wału głównego, bronionego przez dobór wojska angielskiego, który jeszcze w dzisiejszéj walce udziału nie miał, a po którego rozpaczy, najwścieklejszego spodziewać się należało odporu. Zatém zaniechano walkę do jutra, i dopiéro teraz znalazło się nieco czasu do zajęcia się staraniem około rannych.

Pomiędzy témi znajdował się także Karol Poveril, który odniosłszy kilka ran lekkich, leżał na ziemi w pobliżu miejsca, gdzie zatknięty jego własnémi rękoma proporzec, jako znak zwycięztwa, spaniale w powietrzu powiewał.

Wzrok rannego młodzieńca błąkał się po gromadzących się zwolna wokoło niego rycerzach, szukając swojego zbawcę, pazia Turanela; w téj chwili dało się w tyle za Poverilem słyszéć jakieś jęczenie, jakby ciężko ranionego człowieka. Szyko obrócił młodzieniec w tę stronę głowę i przestraszony, ledwie uwierzył oczom swoim; gdyż tuż za nim leżał paż Turanel z zakrwawioném z rany czołem, blady, mdlejący, w rozbitéj cięciem nieprzyjacielskiego miecza przyłbicy, pod którą ujrzał dobrze mu znane rysy Dyjany, na wpół boleśnie, na wpół z uniesieniem radości, ku niemu zwrócone.

»Wielkie nieba!« zawołał Karol Poveril, zerwawszy się z ziemi i niepomnąc ran własnych, padł prawie bez zmysłów obok Dyjany. »O nie umiéraj, nie umiéraj, aniele życia mojego!« zawołał żałośnie, rozdziérając spieszno szarfę na sobie, aby nią ukochaną, zranioną głowę dziewicy owiązać.

»Nie lękaj się, nie umrę, mój Karolu!« szepnęła Dyjana w odpowiedź, a w półcichym jéj głosie objawiała się miłość najtkliwsza. „Widzę cię bohatérem, zwycięzcą, a serce moje nie będzie odtąd dla nikogo więcéj biło, jak tylko dla ciebie!"

»I mogłażeś mię tak zasmucić!« rzekł Karol z lekkim wyrzutem, dokładając wszelkich starań, aby cierpienia kochanki umniejszyć.

„Przebacz,"— odpowiedziała Dyjana — »cierpiałam ja równie jak i ty, mój drogi przyjacielu. Wszakże obowiązek córki wymagał tego po mnie, abym się od was oddaliła; lecz teraz, wszystko już przeminęło, jesteśmy znów razem z sobą, i znowuśmy szczęśliwi! Ale niktże jeszcze nie odkrył," — dodała dziewica z uśmiéchem — »kto właściwie jest ten paż Turanel? — Mój ojciec potrzebuje teraz spokojnego umysłu i niczém nieprzerwanéj baczności, aby Anglików należycie pogromił. Skoro *Chatel neuf de Randon* upadnie, własna jego córka poda mu wawrzyn zwycięztwa. Aż potąd zachowaj milczenie, mój wierny, kochany wojowniku. Wnet przyjdzie chwila, kiedy cała tajemnica w głośną radość się zmieni."

Waleczny młodzieniec okrył łzami i pocałunkami piękne lica swojéj wcale teraz odmiennéj, i tak miłośnie oddającéj mu się kochanki — aż wkrótce nadniesiono lektykę, w któréj ranny paż Turanel do obozu powrócił.

(Dokończenie nastąpi.)

Napoleon i Hudson Lowe.

Dniem przed bitwą pod Waterloo został pewien oficer angielski przez szaserów francuzkich pod Ligny ciężko ranionym i w niewolę wziętym.

»Któżto jest?« spytał Napoleon, widząc jak go do głównéj kwatéry w St. Amand odprowadzano.

„Anglik, kapitan Elphinston;" odpowiedzieli szaserowie.

Napoleon zbliżył się ku eskorcie, a postrzegłszy, iż jeniec był bardzo osłabiony, rzekł:

„Zanieść go natychmiast do lazaretu gwardyi!" Poczém obrócił się do jednego z obecnych *officiers de santé*, i dodał: „Postaraj się pan aby temu jeńcowi niezwłocznie rany owiązano, i daj mi o nim jaknajprędszą wiadomość."

Niedługo potém posłał cesarz rannemu Anglikowi śrébrny puhar z winem ze swójéj własnéj piwnicy.

Kapitan Elphinston pochodził z bardzo znakomitéj rodziny angielskiéj. Lord Keith był jego wujem; jeden z jego braci piastował wysoki urząd w Indyjach wschodnich.

Dowiedziawszy się o spaniałomyślném obejściu się Napoleona z kapitanem, cała rodzina Elphinston przejęła się najżywszą wdzięcznością dla cesarza. Pod koniec lipca r. 1815, w czasie przybycia okrętu Bellerophon z uwięzionym cesarzem u wybrzeży angielskich, kazał lord Keith oświadczyć Napoleonowi najczulsze podziękowanie i ofiarował mu swoje usługi. Podobnież brat rannego kapitana, sir Elphinston, słysząc, iż jedyną rozrywką cesarza na wyspie św. Heleny, jest gra w szachy, polecił chińskim snycerzom zrobić dla niego przepyszną szachownicę z kosztownémi figurami, ozdobnie z kości słoniowéj wytoczonémi. Dar ten przybył następnego roku wprost z Kantonu na wyspę św. Heleny.

Za nadejściem szachownicy był Hudson Lowe w niemałym kłopocie. Podług najsurowszéj instrukcyi rządowéj, musiały wszelkie przesyłki dla Napoleona przedłożone być wprzódy ministerstwu angielskiemu. Mając jednakże niejaką dowolną władzę, postanowił Hudson Lowe, jedynie w tym szczególnym przypadku, nie zasięgać dalszego rozporządzenia, i napisał do hrabiego Bertranda do Longwood, iż nadesłane dla cesarza przedmioty odebrane być mogą. Aż tu otworzywszy tymczasem pakę, ujrzał Hudson Lowe z zadziwieniem na szachownicy i każdéj figurze, duże „N" — ozdobione koroną cesarską.

To przypomnienie dawnéj, na zawsze minionéj

świetności, to przyznanie prawa, którego rząd angielski uporczywie Napoleonowi odmawiał, zdało się Hudsonowi niezgodném z postępowaniem, jakie dotąd względem swojego więźnia zachowywał. Powziął tedy myśl niewydania Napoleonowi buntowniczego daru, jeżli wprzód nie zezwoli, aby owe „N” z koroną cesarską, zniknęło; a gdy Gentilini, służący Napoleona, do Plantation-House po szachownicę przyszedł, dano mu tylko list do hrabiego Bertrand, zawierający między innemi następne słowa:

»Ponieważ raz przyrzekłem odesłać do Longwood przybyłą z Kantonu pakę, więc odeślę ją rzeczywiście nazajutrz, wszakże pod warunkami, których udzielić nie omieszkam. Na każdy wypadek życzyłbym sobie, aby jenerał Bonaparte wiedział, iż w tym razie przekroczyłem otrzymaną od rządu instrukcyję, aby mu małą przyjemność sprawić. Zresztą wytłumaczę jenerałowi pozajutro osobiście pobudki postępowania mojego.»

Przeczytawszy ten list, datowany z dnia 14go sierpnia 1816, ścisnął Napoleon ramionami, i ozwał się w obecności panów Montholon i Las Cases:

»Nadesłanie mi téj szachownicy jestżeto sprawą stanu? Alboż myśli ten człowiek, iż ja wszystkim monarchom europejskim przeto *szach* zadam? Lub też mniema on, iż za doręczenie mi zabawki, na któréj cyfra moja wyryta się znajduje, oskarzą go o obwołanie nowego 24go marca na moją korzyść? Nieborak! Wzbrania on mi tytułu cesarskiego, jakoby ten tytuł nie był na wieki niezgasłym! Wszakże po kilku latach i on i wszyscy oni,” — tak zwykł był Napoleon nazywać Anglików i Burbonów — »będą w pyle niepamięci zagrzebani, albo jeżli ich kiedy wspomną, tedy stanie się to jedynie dla przypomnienia ich niegodnego postępowania ze mną, podczas gdy imię moje będzie wiecznie świécić w dziejach jak gwiazda, która wszystkim oświeconym ludom drogę, jaką iść mają, wskazywać będzie. Niech mi tylko tu przyjdzie, ten pan Hudson-Lowe, a powiém mu wszystko, co mam na sercu.»

Słowa te wprawiły cesarza w niezwykle rozdrażnienie, które nawet jego płowe zazwyczaj lica przemijającym rumieńcem zaczerwieniło. Wielki marszałek napomknął mu o tém zlekka.

„Ach, nic to!” odrzekł Napoleon. „Za chwilę nie będę o tém ani myślał. Pójdźmy do ogrodu; to mię cokolwiek uspokoi.»

W czasie krótkiéj przechadzki, odpięła mu się sprzążka u trzewików. Wszyscy obecni pospieszyli aby mu ją przymocować. Montholon zdążył najpierwszy i przykląkłszy zapiął sprzążkę. Napoleon wziął go za rękę i podnosząc go z ziemi, rzekł:

„Dziękuję ci kochany jenerale. Moi panowie, byliście świadkami przysługi, jaką Montholon mi wyrządził. W Tuileryjach byłbym tego tylko lokajowi dozwolił, lecz tutaj nie mam już lokajów tylko przyjacioł, a zaprawdę, nie straciłem na téj zamianie.»

W téj chwili służący Santini zawiadomił wielkiego marszałka, iż przybył jeden z oficerów 53go pułku z poleceniem od gubernatora.

„Jestto zapewne dar Elphinstona!” zawołał cesarz. »Nadchodzi w samą porę.»

Jakoż istotnie wszedł kapitan Pappelton z żołnierzem, niosącym dużą pakę. Otworzono ją w obecności cesarza w sali bilarowéj, gdzie kapitana przyjęto.

Tak szachownica jakoteż i pokrowiec, w którym się znajdowała, wzbudziły we wszystkich najżywsze podziwienie. Lecz cesarza cieszyła bardziéj wdzięczność rodziny Elphinston niż piękność nadesłanego przez nią daru. Wszystkie figury szachowe wyobrażały rzeczywiście przedmioty, po których nazwane były, i tak naprzykład, król i królowa mieli na sobie cały strój majestatu, a wieża spoczywała na olbrzymim słoniu. Napoleon przypatrywał się z upodobaniem misternéj robocie, ale rzekł w żarcie: »Potrzeba mi będzie dźwigni, aby tę wieżę z miejsca poruszyć.»

Tu kapitan oznajmił cesarzowi, iż gubernator nazajutrz odwiedzić go zamyśla.

„Dobrze;” odpowiedział Napoleon ozięble, a po niejakiém milczeniu dodał: „Panie Poppleton, nie jestżeś najstarszym kapitanem w 53m pułku?»

»Tak jest, sire.»

»Mam wielki szacunek dla żołniérzy i oficerów tego pułku. Sąto waleczni mężowie, którzy znają swoją powinność. Rozeszła się pogłoska, jakobym nie chciał był przyjąć panów oficerów u siebie. Nie byłżebyś pan łaskaw, oświadczyć im, iż ci, którzy im to powiedzieli, nieprawdę mówili?»

„Sire, wierzę temu, iż wiadomość ta była fałszywą. Wiém ja, jak moi koledzy o waszéj ces. mości sądzą, i mogę zapewnić, iż są zawsze pełni najgłębszego poważania i uwielbienia dla niego.»

Cesarz uśmiéchnął się.

„A więc powiedz im pan, iż nie jestem starą babą i nie wdaję się w plotki. Lubię i poważam wszystkich walecznych ludzi, którzy chrzest ogniowy przebyli, bez względu na to, z jakiegokolwiek narodu oni pochodzą.»

Nazajutrz przybył Hudson-Lowe w towarzystwie majora Gorrequier do Longwood, gdy właśnie cesarz z Las Casesem i jego synem po ogrodzie się przechadzał. Gubernator kazał prosić cesarza o przyjęcie go, naco tenże zezwolił. Powitanie Napoleona było grzeczne lecz nieco smętne. Cesarz wyglądał trochę bledszy niż zwykle.

»Pan to jesteś?” ozwał się Napoleon sucho. „Cóż pan sobie życzysz ode mnie?»

„Pozwól mi jenerale,” — odrzekł gubernator —

»podziękować najprzód za łaskę, iż mię o tej godzinie przyjąć raczyłeś...«

»Przestań pan!« przerwał mu Napoleon z niecierpliwością. »Bez udawania! Bez żadnej kłamanej grzeczności pomiędzy nami. Byłobyto równie śmiészném, jak owe postępowanie angielskich i francuzkich oficerów w bitwie pod Fontenoy, którzy przed rozpoczęciem ognia, wzajemnie się zapraszali — »Zaczynajcie panowie!«— Co do nas, my bądźmy szczérzy i otwarci i zmierzajmy prosto do celu.«

Poczém skinął ręką na wielkiego marszałka i Las Casesa, jakby znak dając, aby nie szli z nim razem, i udał się do sali jadalnej. Tu miał bardzo żywą rozmowę z gubernatorem. Słyszano jak mówił:

»Odtąd najhaniebniejszą winą ministrów angielskich nie będzie więcej to, iż mię tu uwięzili, lecz iż mię związanego i skrępowanego w ręce panu oddali. Uskarżałem się na admirała, poprzednika jego, lecz niesłusznie, gdyż miał przynajmniéj serce; pan zaś nie masz go. Robisz co możesz, aby swój własny naród zhańbić.... Pamiętaj pan,« — dodał cesarz, z wyciągniętém ramieniem, grożąc palcem gubernatorowi — »pamiętaj pan, iż imię jego będzie wieczną plamą dla Anglii.... Uskarżałem się wprzódy, iż mi dano stróża więziennego, lecz niesłusznie, gdyż pan jesteś więcéj niż katem.... Tyle chciałem panu powiedzieć, a teraz proszę pana zostawić mię samego.«

I szybko tyłem do gubernatora się odwróciwszy, poszedł do sypialni, gdzie gwałtownie drzwi za sobą zatrzasnął.

Hudson-Lowe wyszedł w gniewie, mówiąc tylko do czekającego nań majora Gorrequier, iż Napoleon nie umié się obchodzić, jak przystoi na gentlemana.

Dnia tego nigdzie już cesarz z pokoju nie wychodził, nikogo nie przyjmował, i jadł sam jeden. Wieczorem, gdy kamerdyner Marchand go rozbiérał, rzekł Napoleon dobitnym głosem do niego:

»Powiadałeś mi raz iż lubisz zastanawiać się nad ludźmi. Gdybyś mógł był słyszéć, co gubernator dziś rano do mnie mówił, tedy byłbyś się przekonał, jak dalece cierpliwość ludzka sięga, i jakie upokorzenie serce w sobie pożréć jest w stanie. Przecież to jedno mię pociesza, iż jego własni rodacy będą musieli oddać mi późniéj sprawiedliwość. Zaczekaj! Popatrzno tam na stół.«

Marchand przybliżył się do stołu, na którym przyniesione wczoraj hebanowe pudełko z szachownicą postawiono, i następne na niém wyrazy wyczytał:

»A l'illustre prisonnier de Sainte Helène
La famille Elphinston reconaissante.«

(Dostojnemu więźniowi z św. Heleny, wdzięczna rodzina Elphinston.)

Na dzień piérwszy maja 1846.

Zawsze błogi nam maju,
  Witaj i w tym roku!
Ja ci wedle zwyczaju,
  Do blasku uroku,
Jakim szczodra natura
  Zwykle cię obdarza,
Dorzucę, z nudów, z pióra,
  Koncept z kalendarza.
Ale ty niedbasz oto,
  Z Jowiszem w przyjaźni,
Czy mnie blask twój, czy błoto,
  Zcieszy lub rozdraźni,
Wszystko jedno jest tobie,
  Czyś w barwie zielonéj,
Czy wystąpisz w żałobie,
  Czy śniegiem zbielony.
Lecz dla mnie, to różnica;
  Gdy muszę w kożuchu,
Kiedy Feb nie przyświeca,
  Dmuchać w garści: chu, chu!
Albo też w dzień majówki
  Gdy w polu zielono,
Niewychodzić z kryjówki,
  Jakby mnie więziono.
Cóż powiem o méj niwie,
  Którąś pokrył szronem?
O bydełku, co chciwie
  Tęskni za zielonem?
O sadku, co tak ślicznie
  Zabielił ogrody?
O mych pszczółkach, co licznie
  Znosiły zeń miody?
Wszystkoś dzisiaj ponurą
  Przyodział żałobą!
Ty się łączysz z naturą,
  Jam zsępiał za tobą —
Świat przybrał postać brzydką;
  Jam stokroć umiérał!...
Posiałem wprawdzie żytko,
  Lecz — kto będzie zbiérał?...

J. J.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 18ty i zawiéra: 1) Czy korzystnie dla gospodarzy grunt silniéj, czy słabiéj nawozić? Przez K. J. Turowskiego. 2) Rozbiór uwag pana C. T. G. nad artykułem: »Co może u nas podnieść chów bydła?« umieszczonych w nrze 9m Tygodnika z roku bieżącego. 3) O szkółce kasztanów i dębów. 4) Doświadczenie z pługiem podskibowym (rylnikiem) w Anglii. 5) Sposób przywrócenia krowom straconego mléka. 6) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 10ty i zawiéra, prócz mód następujące szczegóły: 1) Ferdinando Eboli. Powieść. 2) Wyjątek z dramatu p. t. »Wanda«. Przez A. G. 3) Teatr. 4) Uwiadomienie.

Gete przeciw purystom języka. »Przekonałem się już nieraz w życiu,« — mówi Gete w liście do swego przyjaciela Riemera — »iż najgorliwszymi purystami języka, są zwykle ograniczeni ludzie, gdyż nie umiejąc ocenić wartości wyrazu, znajdą oni z łatwością inny, na pozór stosowniejszy, bo własny, — a gdy chodzi o ocenienie jakiejś rzeczy, wiedzą oni także coś o tém powiedzieć, i najznakomitszym pisarzom w czemś przyganić, podobnie jak się to dzieje półznawcom w obec najszczytniejszych utworów sztuki, w których oni zawsze jakąś wadę, jakiś błąd perspektywy, słusznie albo niesłusznie, wytknąć są w stanie, chociaż o rzeczywistéj wartości dzieła, najmniejszego nie mają wyobrażenia.— Obcemu językowi należy głównie wtedy zazdrościć, kiedy on jednem słowem wyrazić zdoła, co inny język dopiero orzeczeniem określać może; a w tym względzie jest każdy język doskonalszym i ułomniejszym od drugiego, jak się o tém przez porównanie kilku różnych słowników

przekonać można. Co do mnie, ja sądzę, iżby niejedno trafne słowo utworzyć się nam dało, gdybyśmy chcieli dochodzić, zkąd ono w innym języku powstało, i gdybyśmy tąższamą drogą do niego dojść doświadczali.«

Tunel między niebem a morzem. Kolej żelazna z Chester do Holyhead w Anglii ma około Conway i Bangor przechodzić przez kanał Menai, to jest przez dość szeroką odnogę morską, a to za pomocą tunelu, w kształcie mostu, połączającego ląd stały z wyspą Anglesea. Ten podług planu Roberta Stevenson zamierzony tunel ma być cały z kolosalnej żelaznej belki zrobiony, i spoczywać na pięciu olbrzymich kamiennych słupach, z których trzy będą wznosić się z morza, a dwa po brzegach. Długości ma to kolosalne dzieło mieć 150, a szerokości 15 sążni, i będzie wewnątrz wydrążonem, aby wagony środkiem przechodzić mogły. Dla uniknienia wibracyi ma cała masa, stosowną podłogą być zaopatrzona. Podróżnicy będą mijać to miejsce, nie wiedząc nawet, iż jechali przez morze.

Podług doniesień z Islandyi, trwa tam od kilku miesięcy okropny wybuch Hekli, przezco tyle popiołu wokoło naspadało, iż zwiérzęta z tego zdechały, i wszystkie pobliższe wiérzby poschły. Nieustannie prawie wznosił się ogień z dymem do nadzwyczajnej wysokości, przedstawiając wprawdzie spaniały lecz straszny widok. Dziwną jednak jest rzeczą, że żadne z okazujących się w takim razie źródeł gorących, teraz się wcale nie pojawiło.

Królewiczowie francuzcy muszą się uczyć każdy jakiegoś rzemiosła lub jakiej sztuki. Przyszły następca tronu, hrabia paryzki, będzie drukarzem, i już mu osobną małą drukarnię urządzono.

Słychać o stowarzyszeniu artystów przeciw bezczelnym chwalcom, których zwykłe dziennikarskie krasomowstwo wzięło sobie, zdaje się, wcale inne godło niż owo angielskie »*Honi soit qui mal y pense*« — »Wróg, kto sobie to na złe tłumaczy!« — Byłoby to zaiste i dla artystów i dla publiczności bardzo zbawiennem stowarzyszeniem.

Opera przed 120ą laty. W r. 1724 przedstawiono w Pradze pod gołem niebem operę, w której przeszło 1000 śpiewaków i muzyków udział miało. Czteréj kapelmistrzowie przewodzili temu prawdziwemu szturmowi muzykalnemu. Wszyscy sławniejsi wirtuozowie europejscy byli tam zaproszeni, a całe to olbrzymie przedstawienie kosztowało cesarza Karola VIgo — 300.000 złr.

Amputacyja we śnie. Pisma francuzkie donoszą o bardzo szczęśliwej amputacyi, przedsięwziętej na pacyjentce, wprawionej w sen magnetyczny. Maryja d'Albanel, 17letnia dziewczyna z Cherbourga, nie chciała zezwolić inaczej na amputacyję prawej nogi, jak tylko pod warunkiem, że taż amputacyja bez bolu w śnie magnetycznym wykonaną będzie. Uczyniono więc próbę, która jaknajpomyślnej się powiodła. Uspiona pacyjentka nie doznawała w czasie całéj półgodzinnéj operacyi, najmniejszego uczucia bolu; puls jéj był ciągle jednostajny, twarz spokojna i pogodna. Nawet w takich chwilach, które przy amputacyjach zwykle najboleśniejsze bywają, uśmiechała się chora uprzejmie i mówiła z magnetyzerem.

Faworyty hanowerskich oficerów zostały nowym ordonansem królewskim jaknajściślej określone; mogą one tylko podług przepisu być noszone i powinny się kątowo w kształcie kosy po bokach ust zaginać. Terazniejsze modne, całą brodę opasujące faworyty, są najsurowiéj zakazane.

Scena przed sądem poprawczym w Paryżu. P. Gaudron, oskarżony o ciężkie pobicie żony, odpowiada na wstępną naganę prezesa, z najzimniejszą obojętnością: »Żałuję mocno, lecz mam już taki zwyczaj, a w moim wieku trudno się czegoś oduczyć.« — Prezes. »A więc przyznajesz się pan, iż masz zwyczaj bić żonę?« — Gaudron. »Nie, ja tylko to powiedzieć chciałem, że do bicia przyzwyczaiłem się w kolonijach, na murzynach, będąc zarządzcą znacznego gospodarstwa, a wiadomo panu prezesowi, iż z murzynami nie można inaczéj dać sobie rady, jak tylko z batogiem w ręku; ztądto przyzwyczaiłem się nie znosić, aby mi się w czemkolwiek sprzeciwiano.« — Prezes. »Wszakże tutaj nie jesteś pan już w kolonijach, i nie możesz obchodzić się z swoją żoną jak z niewolnikiem.« — Gaudron. »Moja żona, nim poszła za mnie, była wprzódy u mnie na służbie, i nawykłem zdawna uważać ją jak sługę.« — Prezes. »Co pan tu mówisz, jest przeciw wszelkiéj przyzwoitości. A to tém bardziéj, że pan żadnego prawa nie masz, bić nawet swoję sługę.« — Gaudron. »Cóż ja temu winien, chcę aby mię słuchano — jestto już we krwi mojéj.« — Prezes. »Możesz pan sobie usiąść, jeżeli nic lepszego na swoję obronę przytoczyć nie masz.« — Sąd policyi poprawczéj skazał pana Gaudron na dwumiesięczne więzienie.

Małpa konia ujeżdża. »Jeden z moich sąsiadów na wsi,« — opowiada pewien Anglik — »miał dla zabawy małpę, któréj wielką sprawiło przyjemność, jeżeli kiedy na jakiéj świni swojego pana wierzchem przejechać się mogła. Do tego wybiérała ona sobie zawsze jednę, która jéj się najstosowniejszą pod wiérzch zdawała, i wyskoczywszy na nią, biła ją tak niemiłosiernie, i uganiała tak długo, aż dopóki biédna świnia wcale biédz nie mogła. Ztąd padła taka trwoga na całe stado bezrogie, iż, ile razy małpa zrana na podwórzu się okazała, zaraz powszechny kwik w trzodzie słyszeć się dawał. Około tegoż czasu pewien obywatel z sąsiedztwa kupił narowistego konia, którego nikt dosiąść nie mógł. »Nic wypada nic innego uczynić.« — ozwał się ktoś, słysząc narzekającego nato sąsiada — »jak wsadzić małpę na konia.« Od słowa przyszło do uczynku, i posadzono istotnie małpę na konia, dano jéj tęgi batog w łapę, a zapalona jeźdźczyni jęła konia tak mocno prażyć, iż on z bolu to dęba stawał, to wiérzgał, to na różne sposoby się rzucał, lecz małpy z siebie zrzucić nie zdołał. Rozdziczały tém rumak zaczął się tarzać po ziemi, ale zaledwie na jednę stronę się przewrócił, już małpa była na drugiéj, tak, że i to nic mu nie pomogło. Zaczém pognał koń w las, i chciał przyczepioną sobie pod brzuchem małpę, na chaszczach z pod siebie odedrzeć; wszakże przy każdém niebezpieczeństwie umiała małpa tak szybko na wszystkie wywijać się i wyginać strony, że się jéj nic złego nie stało. Nakoniec umęczył się koń do tego stopnia, iż sam dobrowolnie do stajni przybiegł, szukając tam odczépki od małpy. Po jéj oddaleniu, dosiadł piérwszy lepszy chłopiec stajenny konia, który już jaknajpotulniejszym się okazał, i nigdy odtąd do dawnych narowów nie powracał.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.